

Zgodnie z zapowiedzią, powracam do spraw podniesionych przez p. Sławomira Łukaszewskiego w Nr. 4 "Horyzontów" ("Jaka droga dla gospodarki?").

Otóż zgadzam się z p. Łukaszewskim, że należy "maksymalnie zmniejszyć opodatkowanie, zwłaszcza niewielkich jednostek produkujących towary, nie premiować natomiast spekulacji".

Co do spekulacji, to sprawa jest jasna i w każdym szanującym się kraju spekulacja podlega karze, a nie premiowaniu. Natomiast o wiele bardziej złożona jest sprawa podatków (i opłat, które de facto są podatkami). Obciążenie podatkowe na Zachodzie waha się w granicach 25-60% przeciętnych dochodów społeczeństwa i w ostatnich dziesięcioleciach ma tendencję do zwiększania się (aczkolwiek tu i ówdzie, w USA np. próbuje się odwrócić ten trend, choć prawdopodobnie na dłuższą metę próby takie skazane są na niepowodzenie).

Podatki są z reguły wszędzie główną pozycją dochodową w budżecie, którego rola w gospodarce, czy to stabilizująca czy destabilizująca jej równowagę, jest poza wszelką dyskusją.

Podatki, od zarania dziejów, są utrapieniem dla ich płatników i deską ratunku dla skarbu, czy to władców czy państwa. Nigdzie na świecie nie było doskonałego systemu po-

## JESZCZE O DRODZE DLA GOSPODARKI

ZDZISŁAW M. RURARZ

Przejdźmy teraz do działania systemu podatkowego w Polsce, który ostatnio, po wejściu w życie "planu Balcerowicza", uległ nawet wzmocnieniu, choć zawsze system ten był mocny i wszechogarniający (co do wzmocnienia go ostatnio, to mam na myśli zrównanie obciążenia podatkowego, co równa się zwiększonemu opodatkowaniu sektora prywatnego, oraz tzw. obligatoryjne dywidendy, polegające na niemal 10-krotnie wyższej wycenie majątku trwałego w przedsiębiorstwach państwowych, co automatycznie zwiększa stopień ich opodatkowania).

Jak ostatecznie ukształtuje się system podatkowy w Polsce — trudno powiedzieć. Trzeba jeszcze poczekać z wydawaniem sądów ostatecznych, gdyż gospodarka weszła w stan zapaści i nie wiadomo czym skończy się ten stan rzeczy.

W niedalekiej przeszłości jednakże, a także i obecnie, są dwa główne typy podatków: obrotowy i dochodowy. W zależności od roku,

opodatkowania konsumentów, gdyż wysokie ceny towarów, w których ukryte są podatki nakładane na producentów, biją po kieszeni właśnie konsumentów, nawet jeśli ci nie płacą formalnie podatku od zakupu.

Olbrzymie obciążenie podatkowe przemysłu, choć ongiś nie wszystkich jego gałęzi jednakowo, miało ten ujemny efekt, że zniechęciło go do obniżki kosztów własnych. Sam bowiem tylko podatek obrotowy nakładany na przemysł był wyższy w 1987 r. niż fundusz płac w przemyśle. Dokonanie jakichś oszczędności na płacach było więc ułamkiem obciążenia tylko podatkiem obrotowym, co często nie warte było zachodu. Stąd też zmniejszenie obciążenia podatkowego gospodarki, zwłaszcza przemysłu, jest konieczne, choć nie widzę powodu dla czego tylko niewielkich przedsiębiorstw.

Zmniejszenie omawianych podatków równa się oczywiście zmniejszeniu wpływów do budżetu (centralnego i terenowych). Przy

Łukaszewskiego zderza się z twardeymi realiami gospodarczymi, których obejście jest w warunkach polskich wręcz niemożliwe. Wzorowanie się np. na USA, gdzie istotnie republikanie ożywili gospodarkę poprzez redukcję podatków, głównie od producentów, w warunkach polskich jest nie do powtórzenia, gdyż elastyczność produkcji jest prawie żadna. Zresztą także w USA zredukowanie wspomnianych podatków doprowadziło do deficytu budżetowego, który najprawdopodobniej trzeba gasić wyższymi podatkami, rzecz wielce niepopularna i stąd odkładana, ale do czasu tylko. Ponadto, w odróżnieniu od Polski, deficyt budżetowy w USA pokrywany jest w znacznym stopniu przez kapitał obcy, który chętnie kupuje bondy skarbowe. Polskich bondów skarbowych, nawet gdyby były, żaden kapitał obcy jeszcze długo nie kupi. Co gorsza, osobiście obawiam się tendencji do zwiększania podatków w Polsce, rzecz zresztą już zauważalna w "planie Balcerowicza", a to dopiero tylko początek.

Kolejnym problemem podniesionym przez p. Łukaszewskiego jest sprawa "ostatecznego rozpedzenia i wykarczowania nomenklatury". Co do "nomenklatury", to wokół tego zjawiska nagromadziła się masa nieporozumień oraz emocji. Jak wiadomo, słowo "nomenklatura" zrobiło karierę ponad 15 lat temu, kiedy ukazała się książka znanego

czy to stabilizująca czy destabilizująca jej równowagę, jest poza wszelką dyskusją.

Podatki, od zarania dziejów, są utrapieniem dla ich płatników i deską ratunku dla skarbu, czy to władców czy państwa. Nigdzie na świecie nie było doskonałego systemu podatkowego i podatnicy narzekają na zdzieranie z nich skóry, zaś skarb uważa się za wiecznie oszukiwanego (jest to nawet prawda, gdyż w USA skarb państwa oszukiwany jest na ok. 80 miliardów dolarów rocznie, co jest ponad połową deficytu budżetowego kraju).

W gospodarce rynkowej, nie bez słuszności, panuje przekonanie, że producent nie powinien płacić podatków, albo minimalne tylko. Podobnie myślą konsumenci, może nawet wszyscy. Wierzą bowiem świecie, że sami producenci i konsumenci wiedzą najlepiej jak można gospodarować pieniądzem w sposób najbardziej celowy, podczas gdy państwo jest rozrzutne. Odbierając część zysku producentowi, pozbawia go możliwości reinwestowania jej w gospodarkę, zaś odbierając konsumentowi część jego dochodów, tłamsi najbardziej racjonalny popyt, zaś w jego miejsce kreuje popyt o charakterze często pasożytniczym.

O ile pogląd taki jest ogólnie słuszny, to nie jest on *całkowicie* słuszny. Producenci i konsumenci nie zawsze są tak racjonalni w wydawaniu pieniądza, zaś państwo też nie zawsze trwoni go na bezużyteczne cele.

początek z wydawaniem sądów ostatecznych, gdyż gospodarka weszła w stan zapaści i nie wiadomo czym skończy się ten stan rzeczy.

W niedalekiej przeszłości jednakże, a także i obecnie, są dwa główne typy podatków: obrotowy i dochodowy. W zależności od roku, ważniejszy był albo jeden, albo drugi. Każdy z nich stanowił ok. jednej trzeciej wpływów budżetowych. Inne rodzaje podatków to: podatek od płac, od ponadnormatywnych wypłat wynagrodzeń, od nieruchomości gospodarki uspołecznionej, nieuspołecznionej, czyli prywatnej, oraz podatki i opłaty od ludności. Ten ostatni to: podatek od wynagrodzeń, nieruchomości, spadków i darowizn, wyrównawczy i drogowy. Piszę o tych szczegółach dlatego, żeby zwrócić uwagę na wielce rozgałęziony system podatkowy w Polsce, zresztą nie tylko tam, gdzie wręcz trudno uchronić się przed podatkobiorcą.

W każdym razie wpływy do budżetu niemal w całości pochodzą z podatków i innych opłat, w tym ceł, a głównym podatnikiem była zawsze gospodarka uspołeczniona, czyli państwowa, zwłaszcza przemysł (w tym ostatnim przypadku najbardziej obciążony jest przemysł spirytusowy i drożdżowy). Co się tyczy gospodarki nieuspołecznionej, czyli prywatnej, głównie pozarolniczej, to w 1987 r. obciążenie jej równało się 4,5% wpływów budżetowych.

Rzecz jasna, opodatkowanie producentów jest pośrednią drogą

zachodu. Stąd też zmniejszenie obciążenia podatkowego gospodarki, zwłaszcza przemysłu, jest konieczne, choć nie widzę powodu dlaczego tylko niewielkich przedsiębiorstw.

Zmniejszenie omawianych podatków równa się oczywiście zmniejszeniu wpływów do budżetu (centralnego i terenowych). Przy utrzymaniu strony rozchodowej budżetu, zwłaszcza w sytuacji deficytu budżetowego, mo że to wywołać ogromne perturbacje w gospodarce. Wyjściem z sytuacji byłaby znaczna pomoc obca, zwłaszcza w formie darowizn, ale na nią nie ma co liczyć. W tej sytuacji nie pozostaje nic innego jak redukcja wydatków budżetowych.

Coś takiego, aczkolwiek możliwe w wielu tytułach, np. w administracji i obronie, mo że być zneutralizowane wzrostem wydatków w innych tytułach (np. zasiłki dla bezrobotnych, co staje się nowym polem do wydawania pieniędzy).

Co więcej, "plan Balcerowicza" doprowadził do spadku produkcji o jedną trzecią (a wkrótce może być jeszcze więcej). Spadek produkcji i dochodów ludności wpłynęły oczywiście na spadek wpływów budżetowych z podatków. W takiej sytuacji, nawet spadek wydatków budżetowych może mało pomóc, gdyż spadek wpływów budżetowych będzie jeszcze większy i końcowy efekt operacji będzie równy zeru, gdyż powróci zwalczany obecnie deficyt budżetowy.

Tak więc słuszna propozycja p.

sionym przez p. Łukaszewskiego jest sprawa "ostatecznego rozpedzenia i wykarczowania nomenklatury". Co do "nomenklatury", to wokół tego zjawiska nagromadziła się masa nieporozumień oraz emocji. Jak wiadomo, słowo "nomenklatura" zrobiło karierę ponad 15 lat temu, kiedy ukazała się książka znanego mi osobiście prof. Michaiła Woslenskigo, żyjącego obecnie trochę w Austrii i trochę w RFN, pt. "Nomenklatura". Prawdę mówiąc, książka jest bardziej powieścią niż dziełem naukowym, ale to już inna sprawa.

"Nomenklatura" istnieje w całym świecie, choć więcej niż gdzie indziej istnieje w państwach typu totalitarnego. Ciekawe jednak, że w państwach tego typu właśnie obalanie starej "nomenklatury", jeśli tylko istotnie tak jest, wiąże się z powstaniem nowej "nomenklatury", przed którą namiętnie ostrzega nawet sam Lech Wałęsa.

Co do "nomenklatury" w Polsce, to w przeszłości sytuacja była względnie jasna. Partia komunistyczna prowadziła mniej lub bardziej otwartą politykę kadrową w całym państwie. Komitet Centralny partii prowadził ją wobec kadr na szczeblu centralnym, Komitet Wojewódzki na szczeblu wojewódzkim i tak dochodziło aż do komitetów podstawowych organizacji partyjnych. Innymi słowy, były "Nomenklatury", "nomenklatury", "nomenklaturki", i "niby-nomenklatury". Jak liczna była "nomenkla-

# A N A L I Z Y I O P I N I E

tura"? No właśnie, odpowiedź zależy od tego o jakiej "nomenklaturze" mówimy. Skład jej wahał się od kilkunastu tysięcy do ok. miliona.

Rzecz jasna, chodzi o "nomenklaturę", która istotnie miała coś w kraju do powiedzenia. Taka "nomenklatura" nie składała się zresztą tylko z członków partii. Tak np. obecny premier Tadeusz Mazowiecki, ongiś redaktor naczelny niektórych pism katolickich, a przez lata także poseł na Sejm, był z całą pewnością w "nomenklaturze KC".

Sprawa jest jeszcze bardziej złożona na odcinku gospodarczym. Aż 85% dyrektorów przedsiębiorstw było członkami partii. Podobnie było z naczelnymi inżynierami, głównymi księgowymi i wieloma innymi działaczami gospodarczymi szczebla wyższego i średniego.

"Karczowanie" tego rodzaju nomenklatury, nastęrcza pewne trudności. Jeśli kryterium oceny jest tu dawna i obecna afiliacja polityczna delikwenta, to proponowałbym umiar w tej dziedzinie. O ile zaraz po wojnie szafowano kryterium politycznym przy obsadzaniu stanowisk kierowniczych w gospodarce, to potem kryterium takie nie było jedynym i fachowość oraz doświadczenie szło co najmniej w parze.

Zresztą warto przypomnieć, że sam wicepremier Leszek Balcerowicz, oraz czterech innych członków gabinetu z ramienia

liczyć wystraszonego pracownika jednej z central handlu zagranicznego, który mnie błagał, żebym go "nie zniszczył"... W drugim przypadku sprawa się wydała i omal nie wyleciałem z pracy... Gdybym wtedy pracował na rachunek własny, to dziś żyłbym w luksusie z procentów od tych sum i jeszcze podobnie żyłyby moje wnuczki...

Teraz jest podobnie. Wielu dyrektorów przedsiębiorstw istotnie obchodzi "plan Balcerowicza" jak może i bierze go na przeczekanie.

Karczować ich za to? Osobiście uważam, że dzięki nim właśnie gospodarka jeszcze nie stanęła całkowicie, bo "plan" jest tak bezsensowny, że powinna ona stanąć już po tygodniu jego działania. Może więc zamiast karczowania ich, powinni być wynagradzani?

Każdy zresztą kierownik życia gospodarczego musi być, nie tylko w Polsce, mniejszym lub większym oszustem. Gdyby grał w otwarte karty i kierował się biblijną moralnością, to przepadłby z kretesem! Tacy nadają się albo do zakonu, albo do Armii Zbawienia, a nie do gospodarki.

Ocena kadr w gospodarce jest zresztą w ogóle bardzo trudna. Nawet w USA Iaccocę wywalono od Forda. Miał szczęście, że przyjęto go do Chryslera i tam ujawnił się jako geniusz. A może był już nim dawniej, tylko nie umiał tego nikt dojrzeć?

Co więcej — nawet formalne

znaczelnymi inżynierami, głównymi księgowymi i wieloma innymi działaczami gospodarczymi szczebla wyższego i średniego.

"Karczowanie" tego rodzaju nomenklatury nastrecza pewne trudności. Jeśli kryterium oceny jest tu dawna i obecna afiliacja polityczna delikwenta, to proponowałbym umiar w tej dziedzinie. O ile zaraz po wojnie szafowano kryterium politycznym przy obsadzaniu stanowisk kierowniczych w gospodarce, to potem kryterium takie nie było jedynym i fachowość oraz doświadczenie szło co najmniej w parze.

Zresztą warto przypomnieć, że sam wicepremier Leszek Balcerowicz, oraz czterech innych członków gabinetu z ramienia Solidarności, było ongiś członkami PZPR. Skoro im się dowierza, to dlaczego nie innym? Obecna Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polski, kontynuatorka PZPR, liczy w chwili pisania niniejszego ok. 50 tys. członków i należy zakładać, że większość wspomnianych dyrektorów, którzy ongiś byli w PZPR już do nowej partii nie należą.

Skoro ich trzeba "karczować", to dlaczego nie karczować także Balcerowiczów i jemu podobnych w rządzie, Geremków w Sejmie, czy Modzelewskich w Senacie? Rok rozstania się z partią wcale nie musi być tak istotny jak to niektórzy chcieliby widzieć. Zresztą nie o to chodzi. A czy są ludzie na ich miejsce? Może nawet są, ale czy są lepsi?

No właśnie, skąd można wiedzieć, czy są lepsi? Ani w przeszłości, ani obecnie nie ma obiektywnych kryteriów sprawdzenia kwalifikacji fachowych i moralnych kierowników życia gospodarczego. A propos, kiedyś przed laty, zupełnie nieoczekiwanie dla mnie samego, udało mi się zaoszczędzić dla kraju znaczne sumy dewiz. W pierwszym przypadku nikt nawet o tym nie wiedział, jeśli nie

sowny, że powinna ona stanąć już po tygodniu jego działania. Może więc zamiast karczowania ich, powinni być wynagradzani?

Każdy zresztą kierownik życia gospodarczego musi być, nie tylko w Polsce, mniejszym lub większym oszustem. Gdyby grał w otwarte karty i kierował się biblijną moralnością, to przepadłby z kretesem! Tacy nadają się albo do zakonu, albo do Armii Zbawienia, a nie do gospodarki.

Ocena kadr w gospodarce jest zresztą w ogóle bardzo trudna. Nawet w USA Iaccocę wywalono od Forda. Miał szczęście, że przyjęto go do Chryslera i tam ujawnił się jako geniusz. A może był już nim dawniej, tylko nie umiał tego nikt dojrzeć?

Co więcej — nawet formalne kwalifikacje nie są obiektywnym kryterium oceny takiego działacza. Inżynier musi mieć dyplom. Ale taki działacz musi mieć "nosa do interesów" oraz w ogóle przysłowiową smykałkę, której nigdzie się nikt nie nauczy, jeśli nie ma wrodzonego talentu. W USA najbardziej bogacą się ludzie bez formalnego wykształcenia i nawet długiego doświadczenia. Natomiast sędziwy Milton Friedman, którym tak zachwycają się reformatorzy w Polsce, żył z pensji głównie, niezłej co prawda, ale gdzie mu tam do takiego Millikena, który nie ma żadnego dyplomu!

Niemniej jednak, zgadzam się z p. Łukaszewskim, że zmian kadrowych, oby tylko na lepsze, trzeba dokonywać, ale — a mówimy o gospodarce przede wszystkim — zmiany te muszą być pozbawione emocji.

Na tym chciałbym zakończyć omawianie poruszonych spraw, choć wiem, że daleko im do wyczerpującego końca.

— Dlaczego Pan Bóg stworzył kartofle?  
— Żeby i biedacy mieli kogo obdzierać ze skóry.